

Kajetan Młynarski,  
*Zapiski z błękitnych ruin*,  
wyd. I, nakładem autora,  
Kraków 2000, ss. 249

Czy można wyklądać dyscyplinę filozoficzną tak trudną w odbiorze jak epistemologia w sposób naturalny, zbliżony do zajęć terenowych z przedmiotów przyrodniczych? Wydaje się, że jest to niemożliwe, a jednak taki stereotypowy pogląd stara się przełamać prezentowana książka autorstwa krakowskiego filozofa – Kajetana Młynarskiego. Jest to w zasadzie przewodnik metodyczny dla wykładowców filozofii, zwłaszcza dla tych, którzy mają problemy z prezentacją zagadnień związanych z teorią poznania.

Pierwszy rozdział tej niezwykle oryginalnej książki, która jednakże zachowuje walory podręcznika epistemologii, nosi nazwę *Kazanie wierzbowego liścia*. Tytuł być może mylący dla tego, kto oczekiwał, iż naprawdę liść głosi kazania werbalne, ale zupełnie zrozumiały dla tego, kto prawdę wywodzi od jej podstawy koniecznej (liścia). „Przytomny prawdzie bez trudu ją wyraża” (teza 10) oczywiście pod warunkiem, że nie traci z oczu owej koniecznej podstawy jej wyrażania. Prawdę zaciemnia więc koncentracja na formie jej wyrażania, bo wtedy jej podstawa zostaje przesunięta na dalszy plan, im dalej odchodzimy w wyrażaniu od podstawy koniecznej, tym prawda staje się słabiej widoczna. Każda wypowiedź także oddaje kontekst sytuacyjny tego, który wyraża. Mądrość zdaniem autora polega więc na tym, aby z danej wypowiedzi „wiedzieć co znajduje swój wyraz”. Stąd konkluzja: „Potrzeba prawdy rodzi się bowiem z jej zasłonięcia” (teza 13). Język jest tworem sztucznym, zastępczym środkiem wyrażania, co jest konieczne w sytuacji, gdy mamy do czynienia z wyrażaniem odnoszącym się do odmiennych stanów tej samej podstawy w różnych interwałach czasowych. Obrazowo w książce przedstawiono to na przykładzie zmienności kolorystycznej

liścia związanej z następstwem pór roku. Język traci swą „przejrzystość wyrażania, bo zamiast sięgać do podstawy prawdy zadawałamy się jej językowym wyrazem”.

Nie jest łatwo recenzować książkę z epistemologii, zwłaszcza wywód oryginalny, autorski. Mamy wówczas do czynienia z sytuacją analogiczną jak z wyrażaniem, gdyż na podstawie odczytywanego języka odkrywam prawdę (a w zasadzie czyjeś jej wyrażanie). Aby utrzymać się w konwencji książki, musiałbym powiedzieć, iż pomiędzy prawdą a moim jej odczytywaniem są dwa ogniwa pośredniczące, z których każde związane jest z językiem. Oczywiście to nie jest „zabawa w głuchy telefon”, ale moja interpretacja czyni prawdę mniej oczywistą, a każda kolejna interpretacja jeszcze bardziej nas od niej oddala. Rozróżnianie jest więc stanowione na gruncie języka, a on stanowi o pojmowaniu rzeczywistości. Kompetencje językowe decydują więc o zdolności ujmowania pojęć ogólnych w naturalnych granicach, czyli wobec prawdy przez nie wyrażanej. Autor mówi tutaj obrazowo, że gdy człowiek mądry rozprawia o liściach, to w jego słowach słychać ich szelest.

Rozróżnienie, zmiana i przemijanie, to pojęcia ogólne, które jednak są konieczne, abyśmy mieli maksymalną swobodę wyrażania świata. Z drugiej zaś strony są wielkim ograniczeniem tej swobody, bo wraz z nimi, zdaniem autora, pojawiają się problemy co najmniej dwojakiego rodzaju: teoretyczne i egzystencjalne. Problemy powodują, że prawda może się zagubić, ale jednak nie ginie. Jest, ale trzeba jej poszukać, to także wyznacznik mądrości – umiejętność znajdowania prawdy w gąszczu problemów świata. Uogólnianie to umiejętność wyrażania prawdy słowami, ale to także podstawa pragnienia dociekania prawdy. Zagubienie wiązać się może także z uludą prawdy bądź jej zatraceniem. Utrata prawdy jest więc równoznaczna z ujawnieniem się jej przeciwieństwa – kłamstwa. Nie może ono jednak zaistnieć bez prawdy. Nawet próba zdawania egzaminu bez odpowiednio ugruntowanej w prawdzie wiedzy jest sprzeciwieniem się jej (kłamstwem) właśnie dlatego, że kłamiemy, iż „coś wiemy w tej sprawie [wiedząc, że nie wiemy]” (teza 44). W konkluzji autor dochodzi do wniosku, iż trwanie w prawdzie nie wymaga wysiłku, co innego, jeśli chodzi o kłamstwo. Ono wymaga nieustannego podtrzymywania, wydatku energii na jego utrzymywanie.

Prawda stoi w opozycji wobec kłamstwa. Opozycja to walka. Celem walki jest zwycięstwo poprzez negację, czyli odrzucenie przeciwień-

stwa. Kłamstwo zanegowane przez prawdę zostaje unicestwione, a jak jest w przypadku prawdy? Ona przecież nigdy nie zanika, nawet w sytuacji, gdy przemijalnie tryumfuje kłamstwo, bo jest po prostu jego konieczną podstawą. Takiej samej negacji podlega także to wszystko, co jest odmienne od prawdy. Sytuacja negacji bowiem wiąże się z koniecznością jej przewyciężenia przez eliminację członu, który z prawdą jest niezgodny. Bardzo pouczające są tutaj rozważania autora dotyczące niemożności poznania prawdy absolutnej, gdyż każda taka prawda nie tylko unicestwia kłamstwo ale i wszelkie sądy z nią niezgodne. Prawda absolutna to stan tyranii prawdy, unicestwiającej wszelkie inne nieabsolutne prawdy, a zatem stan epistemologicznego bezruchu. Odnosząc myśl do platońskiej triady PRAWDA–DOBRO–PIĘKNO, to one także podlegają takiemu ograniczeniu. „One także są unicestwiający [ograniczający], one także są nieosiągalne i ostatecznie zarezerwowane dla całkiem niedostępnego Boga”(teza 69). Idąc dalej tym tropem być może należałoby powiedzieć, iż odnosi się to także do wszystkich innych wartości. Autor zauważa tutaj, że „im bardziej zaawansowane i wydajne narzędzie [adaptacja], tym większe może przynosić korzyści i tym większe zniszczenia w przypadku nadużycia” [teza 72]. Negacja pozwala unicestwić przeciwnika, a więc jest takim narzędziem nie tylko w nauce. Ale negacja jest możliwa tylko w świecie, który da się podzielić na przynajmniej dwa zbiory. Coś bowiem jest tym czy jest i zarazem nie jest niczym innym. Potrzeba „domknięcia uniwersum” wymaga dokonania takiego zabiegu w każdym procesie poznania. Właśnie w takim rozumowaniu widoczna jest ogólność każdego sądu negatywnego. Jak zauważa autor, sąd ogólny „wszyscy ludzie są śmiertelni” jest równoważny zarazem sądowi „żaden człowiek nie jest nieśmiertelny”.

Osobną sprawą jest swoiste rozliczenie się autora z tradycją filozoficzną, która neguje możliwość dotarcia do źródła (liścia), a zarazem koncentruje się na wskazywaniu dróg dotarcia do prawdy. Autor przywołuje w książce przykład filozofii Kanta dla zobrazowania tego typu błędnej, jego zdaniem, koncepcji ujmowania prawdy, konsekwentnie zaś trzyma się poglądu, iż „prawda jest zwyczajna, a słowa prawdy są proste i nie wymagają [wysiłonego] rozumienia” (teza 95).

Następne rozdziały książki są kontynuacją pierwszego. Rozdział tytułowany *Opowieści i opowiadający* rozpoczyna się od kwestii kompetencji komunikacyjnych. Za najważniejszą dla kompetencji autor uważa

świadomość istnienia jej granic. Wszelakie opowieści zapośredniczają prawdę i często mają uludą jej osiągnięcia. Chcemy być przytomni (świadomi) a jednak łatwo ulegamy magii opowieści. Prawda zapośredniczona przestaje być prawdą, a staje się towarem („prawda profitowa”) bądź staje się tożsama z naszymi oczekiwaniami (np. potrzebą bezpieczeństwa, władzy). Ten rozdział jednak nie przemawia tak jednoznacznie do mego przekonania, jak poprzedni. Zapewne możemy wyobrazić sobie sytuację, w której bylibyśmy skłonni poświęcić prawdę na rzecz jakiejś innej wartości, ale to niekoniecznie musi oznaczać, że zastąpiliśmy ją uludą jej posiadania. Transakcja ma to do siebie, że jest „przytomna”, a zatem „sprzedając” prawdę wiemy, że to zrobiliśmy. Stąd utrata jej, jak się wydaje, zapewne ma charakter tylko chwilowy. Właściwa niewolnikom sytuacja zawężenia świadomości moim zdaniem dotyczy tych, co prawdy nigdy nie posiadli. Pytanie zresztą, czy prawdę w ogóle da się „sprzedać” bądź utracić. Zatem nie każdy prawdę musi kupić, a nawet ją „kupując” wie, że tak naprawdę wcale jej nie kupił. Zapewne podobnie wygląda sytuacja samego autora. Zgadzam się jednak z nim, gdy mówi: „władza jest wrogiem nauki”, bo w sytuacji władzy prawda staje się narzędziem, czyli „towarem” służącym do jej utrzymania. Prawdy nie rozpoznaje się także za pomocą wewnętrznego „poczucia prawdziwości”, gdyż wówczas nie musiałaby ona być w czymkolwiek ugruntowywana, a zatem nie byłoby jej poszukiwania i towarzyszącej temu niepewności. Nie mogłaby być też narzędziem władzy i nie mogłaby jej przydawać w otoczeniu pozbawionym dostępu do niej.

W rozdziale zatytułowanym *Drogą chwil* autor zaskakuje nas stwierdzeniem, iż tzw. wiek złoty, który miał poprzedzać obecną cywilizację miał także swe ugruntowanie epistemiczne, gdyż „był czasem światła bezpośredniej świadomości” (teza 152). Rozwój języka to czas zapośredniczania rzeczywistości, to także czas utraty kompetencji w kwestii bezpośredniego wyrażania świata. Jak dalej zauważa, „prawda, jasność, wymaga jednak pewnych kompetencji, nie jest każdemu dostępna” (teza 167). Dalej wiele stron zostaje poświęconych krytycznej analizie prób definiowania prawdy, podejmowanych przez samych filozofów. Niezależnie od krytycznej oceny sformułowanych onegdaj definicji, w zgodzie z wcześniejszymi wywodami autorowi najbliższe jest ujęcie prawdy w szkole milezyjskiej. Pewną osobliwością jest wyraźna sympatia autora dla filozofów, którzy legitymowali się wykształceniem przyrod-

niczym. Niekoniecznie współgra to z innymi treściami książki, gdzie prawda żąda jedynie „przytomności”. Wiedza książkowa i szczegółowa nie zawsze przecież w tym pomaga.

Właściwy wykład poglądów autora na kwestie znaczenia wiedzy naukowej oraz naturę procesu podążania ku prawdzie rozpoczyna się w zasadzie od rozdziału zatytułowanego *Układanie gałązek*. Oczywiście i w poprzednich rozdziałach, przy okazji krytycznej analizy poglądów innych filozofów odnośnie do statusu prawdy, uważny czytelnik zostaje w ogólnych zarysach zapoznany z koncepcją wykładaną w książce. Prawda jako narzędzie ewolucji a wiedza naukowa jako skuteczne narzędzie adaptacji. Autor swój wykład rozpoczyna od wskazania, że nie popełnia przy tym błędu „biologizmu”, a jednym z argumentów jest przekonanie, iż tego typu poglądy zrodziły się na gruncie filozofii, a nie biologii. Za co najmniej kontrowersyjny należy uznać także pogląd, że nauka jest jednym z narzędzi przydających mocy każdej władzy, dlatego jest ona żywotnie zainteresowana rozwojem nauk, choć sama nie dostrzega rzeczywistego sensu takiego wspierania nauki. Nowe teorie prawdy są tym samym potrzebne po to, aby odrzucić stare, „aby je [nie-nawistnie] unicestwić czy zanegować” (teza 242). Nie jest jednak tak, aby o rozwoju wiedzy decydowali wyłącznie ci, którzy są uwikłani w sytuacje władzy, gdyż wiedza sama może przewidywać „kształt sytuacji”, a skutecznie kontrolować można tylko to, co się dobrze zna.

Dalej mamy do czynienia z autorską próbą systematyzacji całego dotychczasowego wywodu dotyczącego prawdy. Próba ta nie kwestionuje żadnej z istniejących jej definicji, gdyż „bardziej wyspecjalizowane teorie prawdy są ugruntowane we wcześniejszych i ostatecznie w samej prawdzie” (teza 262). Tego przecież wymaga „ewolucyjne” założenie, stanowiące podstawę wywodu. Oznacza to jednak także, iż nie ma żadnej ogólnej i całkowitej teorii, choć jest możliwe sformułowanie takiej teorii w odniesieniu do fałszu. Autor dobitnie wyraża swoje stanowisko następująco: „Dowody na istnienie Prawdy są zatem dowodami na istnienie fałszu [ponieważ fałszem jest każda teza prawdziwa pretendująca do wyłączności i utożsamiana z całą, samą prawdą]” (teza 334). Nie jest jednak tak, iż prawda całkiem umyka, bo nasza przytomność zakłada pewną stałość wyrażanych sądów. Stąd stwierdzenie autora w tezie 360 „Logika jest formą urzeczywistniania prawdy. Logika jest formą wyrażania prawdy”. Dwie tezy dalej następuje doprecyzowanie: „logika jest

także sposobem [formą, kształtem] mówienia [posługiwania się językiem]. W szczególności jest jego zasadami, prawidłowością języka”. Egzystujemy w świecie „zgodnie z naszym jego rozumieniem”, a więc logika jest uwikłana (zaangażowana) w nim. Dzięki temu logika staje się potężnym mechanizmem adaptacji i jest uwikłana ewolucyjnie.

Z zainteresowaniem przeczytałem także uwagi autora dotyczące swoistej wspólnoty, jaka istnieje pomiędzy logiką a poezją. Taki związek jest dla mnie oczywisty, jeśli wziąć pod uwagę wysoce prawdopodobne powiązania genetyczne poezji z filozofią<sup>1</sup>. A jednak operowanie językiem jest nam potrzebne nie z racji jego formalnej doskonałości, ale właśnie z racji czysto życiowych. Zatem logika nie jest ani trochę bardziej ważna od poezji, gdyż każda z tych dziedzin wyraża rzeczywistość [naszą]. Jednak nauka chce zawładnąć prawdą w sposób bezdyskusyjny i to powoduje, że tworzy [piętrzy] wyrafinowane konstrukcje logiczne. Trzeba przyznać, iż autorowi udało się przeprowadzić wywód na temat logik dwuwartościowych w sposób zrozumiały dla czytelnika, ograniczając maksymalnie zakres symboliki logicznej. Za szczególnie pouczające uznać trzeba jego rozważania dotyczące antynomii logicznych i gramatycznych. W sposób jasny i rzeczowy zostają rozwiane wątpliwości co do mocy logiki, dręczące wielu zwolenników filozoficznych antynomii i paradoksów. Antynomie milcząco zakładają, iż „żadna nazwa nie jest pusta lub że każde zdanie ma wartość. Ustanawiamy więc pewną logikę, która sama jest trywialnie pusta lub po prostu błędna” (teza 517). Cóż jednak w takim razie znaczy „wszystko” i coż to znaczy „nic”? Ekstensjonalność wymaga, aby zbiór pusty nie był całkiem pusty, a intensjonalność może pozwolić na proste zastąpienie „wszystkiego” „niczym”. Nie oznacza to oczywiście bezużyteczności całej logiki ani „chaosu dowolności”, lecz wskazuje na ograniczenia powszechnie wykorzystywanej przez nas logiki dwuwartościowej. Autor nam wskazuje drogi wyjścia, gdyż tego typu wątpliwości nie są możliwe na gruncie logiki jednowartościowej. W życiu jednak potrafimy na szczęście uniknąć pułapek i dość pewnie kierujemy się ku prawdzie, gdyż „doświadczenie cnoty prawdomówności jest koniecznym warunkiem wszelkiego porozumienia. Jednak my to doświadczenie mamy, człowiek przytomny wie

---

<sup>1</sup> Zob. J. Danielewicz, *Biesiadne inicjacje. Rozważania o greckim sympozjonie*, „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa” 2001, nr 1-4 (252-255), s. 56-62.

kiedy nie wie, człowiek mądry rozpoznaje prawdomównego [po jego przytomności] i nie nadaje usłyszonym zdaniom wartości innej niż ta, którą one faktycznie dla niego mają” (teza 570). Jednak lektura książki uświadamia, iż pozwala nam to tylko rozpoznać fałsz, a narzędzia rozpoznającego bezbłędnie prawdę po prostu nie ma i nie dostarczy nam go także logika.

Pracę kończą swoiste fajerwerki myślowe autora związane z próbą sformułowania podstaw odwrotnej logiki jednowartościowej oraz logiki zerowartościowej. Niewątpliwie erudycja [a może bardziej przytomność] autora jest godna podkreślenia, szczególnie pouczająco brzmią rozważania dotyczące wolności prawdy od prób jej zawłaszczania na gruncie tych szczególnych logik.

Recenzowanie tej książki jest zadaniem niemal niewykonalnym. Nie da się jej także streścić, w czym pobrzmiewa jakaś analogia z Wittgensteinowskim *Traktatem logiczno-filozoficznym* albo z jego *Dociekaniami*. Ta analogia jest także widoczna w układzie treści książki. Praca stanowi więc jednolitą całość, w której lektura każdej części jest konieczna dla zrozumienia całości. Z drugiej zaś strony w wielu momentach autor popada w nadmierny dydaktyzm, gdy przedstawia swe poglądy w sposób deprecjonujący odmienne spojrzenia. Zauważyć to można zwłaszcza przy ocenach tradycji filozoficznej. Jest to zapewne pokłosie przekonania, iż sama epistemologia powinna uchronić od błędzenia i powinna stanowić nieomylny drogowskaz, wiodący ku prawdzie.

Dopiero po zakończeniu lektury tej niełatwej w odbiorze książki możemy się zastanowić, co w istocie rzeczy jest jej mocną, a co słabszą stroną. Zapewne lektura pracy byłaby dużo łatwiejsza, gdyby książka zawierała odsyłacze i przypisy, jednak autor wydaje się być przekonany, że czytelnik zawsze będzie kompetentny. Pracy nie poprzedza wprowadzenie, dlatego nie wiadomo dokładnie jak należy traktować wyróżnianie przez autora poszczególnych słów i zdań poprzez ich podkreślanie bądź branie w nawias kwadratowy. Skazani jesteśmy w tej mierze wyłącznie na intuicyjne rozwiązania. W pracy jest także mnóstwo odwołań do praktyki nauczycielskiej autora oraz wiele przykładów. W wielu miejscach jest to konieczne, bo dzięki temu treści książki zyskują na jasności. Można jednak zarzucić autorowi pewną niekonsekwencję w tej mierze, gdyż ścisłość merytoryczna nie idzie w parze z konsekwencją w doborze przykładów. Mamy więc do czynienia na przemian np. z przy-

kładami legendarnymi, historycznymi, fantastycznymi bądź czysto naukowymi. Moim zdaniem bardziej czytelne byłoby konsekwentne trzymanie się konwencji z rozdziału *Kazanie wierzbowego liścia*, który wyjątkowo do mnie przemawiał właśnie swą obrazowością.

Co jest zaś mocną stroną książki? Przede wszystkim jej naturalny i niemal reporterski styl, poprzez który niejako wraz z autorem zgłębiałyśmy zawile problemy epistemologiczne. Nie jest to więc lektura dla laików w dziedzinie filozofii. Nawet czytelnik niezłe zorientowany w historii filozofii może zostać przytłoczony symboliką logiki Leśniewskiego, którą po prostu trzeba znać choćby w zarysie, aby zrozumieć niektóre wypowiedzi autora, wyraźnie nią zafascynowanego. To ważne, gdyż niezależnie od czytelności ujęcia wszystkich problemów, one same są niełatwe do zrozumienia. Wiemy skąd one się biorą, a nie wiemy dokładnie jak nimi operować. W każdym z nas także tkwi podświadome pragnienie świata, w którym wszystko jest pewne i proste. Pragniemy władać prawdą bezpiecznego i prostego do wyrażania świata. To iluzja, z którą autor rozprawia się na przykładzie „błękitnego świata” (teza 283), w którym obietnicą „lepszego porządku” przesłonięto pierwotny błękit nieba sklepieniem zamalowanym na sposób zgodny z życzeniem tych, co posiadli władzę nad prawdą. Ta nowa prawda przesłoniła pierwotne źródło pewności. Jednak w dążeniu do bezpiecznego rozumienia świata ludzie nie wyrzekli się powrotu do dawnego łatwego wyrażania go. Ten powrót jest możliwy, ale oznacza konieczność zburzenia wielokrotnie przemalowywanego sklepienia, które tylko z nazwy jest „prawdziwie błękitne”. Dopiero w tym kontekście zrozumiała jest niecodzienny tytuł książki. Prawda wymaga ruin sztucznie skonstruowanego sklepienia. Książka jest więc w moim rozumieniu propozycją systemu orientacji w świecie. Taki system każdy z nas ma niejako z natury, bo nie trzeba przecież uczyć się prawdy. Kłopoty mamy tylko z jej wyrażaniem, a zatem lektura tej oryginalnej książki zapewne przywróci wielu jej czytelnikom wiarę w możliwość samodzielnego zrozumienia świata.

*Stefan Konstańczak*